



Wojna totalna

JAREK SZUBRYCHT

SON
WYDAWNICTWO
THE ONE FOR ALL

SOVIET
Guerra totalna





WOJNA

Wojna totalna

JAREK SZUBRYCHT

Kraków 2014

VADER
WOJNA TOTALNA

Copyright © by Jarek Szubrycht 2014
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014

Redakcja i korekta – Joanna Mika-Orządała,
Kamil Misiek / Editor.net.pl, Aneta Wiczorek / Editor.net.pl,
Agnieszka Luer-Mika

Skład i łamanie – Joanna Pelc

Projekt okładki i wkładek ze zdjęciami – Łukasz Jaszak
/ www.jaszak.net

Zdjęcie na 1 stronie okładki – Łukasz Jaszak

Zdjęcie na 4 stronie okładki – Adam Sieklicki

Zdjęcia na wewnętrznych stronach okładki – Kobaru.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014
ISBN: 978-83-7924-211-5





www.wydawnictwosqn.pl


Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej




 DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

*Oto wojna
Wojna o którą się prosiliście
Oto wojna
Wojna totalna*

z tekstu *This is the War*

INTRO

Kto pamięta, jak wyglądał PRL na polskiej prowincji? Kto przeżył wczesne lata 80. w Koszalinie albo Rzeszowie? Szare ulice, po których z rzadka poruszały się samochodopodobne wynalazki – maluchy, łady, trabanty, zaporozżce... Szare chodniki, po których szarzy ludzie człapali bez pośpiechu, bo przecież nie mieli się do czego spieszyć. Szare sklepy ukryte za szarymi witrynami, w których drzemali szarzy sprzedawcy, pilnując półek z rzadka upstrzonych fiaszkami z octem. Syf, beznadziejność i obezwładniające poczucie, że wszystko już było i nic nigdy się nie zmieni.

Co pomyślelibyście o chłopaku, który w tamtych czasach powiedziałby wam, że właśnie rzucił szkołę, że nie zamierza szukać ciepłej posady w biurze, szkole czy fabryce, bo jego miłością jest film i tylko temu zamierza się poświęcić? Co pomyślelibyście o nastolatku, który po obejrzeniu kilku westernów na odrapanym ekranie kina Pionier postanowiłby, że sam takie filmy będzie kręcił? Żadne tam pastisze, na miarę naszych czasów i skromnych polskich możliwości – on chciałby zawalczyć o westernowy panteon z Johnem Wayne'em i Clintem Eastwoodem! Chciałby rozdawać autografy wielbicielom kina od Montevideo po Tokio, zasmakować hollywoodzkiego blichtru, w oscarową noc przespacerować się po czerwonym dywanie...

Jesteście w stanie wyobrazić sobie takiego wariata?

Równie zabawny co żałosny, prawda? Pośmiejcie się więc, poużalajcie nad nim do woli. Poużywajcie sobie.

Już?

A teraz wyobraźcie sobie, że mu się udaje.

To jest historia zespołu Vader. Losy Piotra Wiwczarka z Olsztyna, który jako nastolatek powiesił sobie plakat Judas Priest nad łóżkiem

WOJNA TOTALNA

w swoim pokoju, w domu dziadków. Gapił się w to okno na lepszy świat przed zaśnięciem, zerkał na nie, kiedy budził się rano i gdy wracał ze szkoły. Snuł marzenia. Rozmyślał, jak cudownie mogłoby być, gdyby zamiast Halforda i Downinga to on stanął na tej olbrzymiej scenie, skąpany w purpurowym świetle reflektorów. Jakby to mogło być, gdyby nagrywał i wydawał prawdziwe płyty, kręcił pokazywane w telewizji teledyski, jeździł z koncertami po całym świecie, od Australii przez Amerykę Południową po Japonię. W kraju za Żelazną Kurtyną, gdzie szalała cenzura, otrzymanie paszportu zależało od ubeckiego widzi-misie, instrumenty nadawały się wyłącznie na rozpałkę, a karykatura rynku fonograficznego nijak nie zaspokajała potrzeb muzyków i fanów, Piotrek marzył o rzeczach po prostu niewyobrażalnych.

Wojna totalna to książka o tym, jak niemożliwe stało się możliwe. Ale i o tym, że za spełnianie marzeń trzeba słono płacić.



OD TRZECH KUREK DO TRZECH SZÓSTEK

Pociąg z Krakowa do Olsztyna jedzie długo. Zbyt długo. Zdążyłem się więc nie tylko wynudzić, ale i potwornie zgłodnieć. W stolicy Warmii i Mazur, na dworcu, pochłaniam gigantycznych rozmiarów zapiekankę z sosem meksykańskim, choć aura wokół nie przypomina plaż Acapulco. Koniec lutego, wszędzie błoto, szaro i ponuro. Stalowe niebo wisi nisko, tuż nad moją głową. Wieje silny wiatr. Odpowiednio poinformowany przez Petera wsiadam do rozklekotanego i nieogrzewanego busa, który zawiezie mnie za siedem złotych (kierowca pakuje kasę do kieszeni – jaki bilet? jaki paragon?) do Lidzbarka Warmińskiego. Mijamy wsie i miasteczka, których charakterystyczne niskie zabudowania przypominają do złudzenia osady z północy Niemiec. Nie bez przyczyny, to przecież Prusy Wschodnie. Ledwie kilkadziesiąt lat temu Olsztyn nazywał się Allenstein, Dobre Miasto było Guttstadtem, a Lidzbark Warmiński Heilsbergiem. Do Heilsberga można było dojechać pociągiem, do Lidzbarka od dobrych paru lat już nie można. Dworzec kolejowy, obok którego mój busik kończy kurs, stoi więc zamknięty na kłódkę i zgodnie z prawem grawitacji powoli, kawałek po kawałku, obrypuje się i pewnie niedługo zniknie w ziemi. Jest rok 2008, a więc od zmiany ustroju minęło niemal 20 lat, od wejścia do Unii Europejskiej prawie cztery, ale to miejsce wygląda, jakby Europa je sobie odpuściła, jakby już nic nowego nie miało się wydarzyć.

Wsiadam, rozglądam się. Peter zapowiedział, że przyjedzie po mnie ładna blondynka w zielonym, wojskowym samochodzie. Podał

markę, ale natychmiast zapomniałem, bo na autach zupełnie się nie znam. Ładną blondynkę natomiast potrafię wypatrzyć z daleka. Jest. To Marta, żona Piotra. Wsiadam. Rozmawiamy o pogodzie, o silnych wiatrach, które od kilku tygodni nękają północną Polskę, o tym, że śniegu coraz mniej. Pytam, jak im się żyje na warmińskiej wsi. Jedziemy bowiem na wieś, albo i dalej – do ich samotni, jakieś 10, może 15 kilometrów na zachód od Lidzbarka Warmińskiego. Poruszamy się bardzo powoli, bo w aucie nawalił właśnie wał korbowy i okropnie trzęsie. Ale to dobrze, mam czas się rozejrzeć po okolicy. Choć pora roku dla turystów niezycliwa, nie sposób nie docenić piękna tych lasów i surowej powagi jeziorek, połyskujących grafitowo pomiędzy drzewami. W wiosce Bugi – ot, pięć odrapanych domów na krzyż – kończy się asfalt. Piaszczystą, wyboistą drogą wjeżdżamy w las. Stan wału korbowego nie ma już najmniejszego znaczenia, bo na tych wersepach i tak trzęsie jak na rajdzie Paryż – Dakar. Pytam Martę o grzyby i okazuje się, że trafiam na jedną z jej pasji. Krótką pogawędką na temat naturalnych bogactw leśnego runa zasłużyłem na pyszną grzybową potrawkę, którą Marta przyrządzi na kolację... No, ale na razie do kolacji daleko.

Obok wiekowego przydrożnego krzyża – kto go tu postawił? Niemcy? Warmiacy? Repatrianci zza Buga? – skręcamy w prawo i podjeżdżamy do płotu. Wyskakuję, otwieram bramę, Peter wychodzi nam na powitanie. Wraz z nim dwa kilkumiesięczne buldogi amerykańskie, jeszcze rozbrykane szczenięta, ale już budzą respekt. Podobnie jak ich mama, Szelma. Pytam, czy mogę pogłaskać, bo wolę nie ryzykować kontaktu z tak poważnie wyglądającym psem. Mogę, jest dobrze ułożona i lubi gości. Podbiega do mnie również świnka o imieniu Konik, ale Konika nie głaskam, bo w porę zostaję ostrzeżony, że to łatwy sposób na pozbycie się palca. Są jeszcze koty, w tym jeden o uroczym imieniu Dupek, ale koty, wiadomo, okazują wyniosłą obojętność zarówno gościom, jak i gospodarzom, lekko poirytowane harmidrem powitania.

Przyjdą później, gdy przestaniemy hałasować i zasiądziemy w fotelach – dopiero wtedy łaskawie pozwolą się pogłaskać.

Murowany ponemiecki dom, do którego rodzina Petera przeprowadziła się przed kilkoma laty, to miejsce przytulne, choć jak tłumaczą mi gospodarze, solidny remont kilku pomieszczeń jeszcze przed nimi. Tak czy owak można pozazdrościć widoku na las za dnia i nieprzeniknionych ciemności w nocy. Oraz niczym niezmałoczonej ciszy, która ponoć kłuje w uszy – tego akurat nie posmakowałem, bo gdy gościłem w domu Petera, nad Polską przewaliła się łamiąca drzewa wichura, której daleki pomruk towarzyszył nam całą noc.

Marta parzy kawę, Peter nastawia winyl *South of Heaven*, ja niegrzecznie lustruję półki. Płyty – bez większych niespodzianek. Klasyka heavy metalu, trochę starego dobrego thrashu, kilku najpoważniejszych konkurentów Vadera na deathmetalowym poletku i garść filmowych soundtracków. Sporo książek, niemal wszystkie historyczne, większość o II wojnie światowej. Od pięknie wydanych, grubaśnych albumów z oszałamiającymi fotografiami po pozółkłe tomiszczą wygrzebane zapewne w jakichś antykwariatach. Wiele w obcych językach. Są też filmy na DVD. Dokumenty i fabuły o wiadomej tematyce. Postanawiam błysnąć znajomością tematu i informuję Petera, że koniecznie powinien zobaczyć rosyjski serial *Karny batalion*, bo... Przerwywam, widząc, że Piotr patrzy na mnie z lekkim pobłażaniem i wskazuje miejsce, w którym znajduje się wspomniane przeze mnie wydawnictwo. Cholera, komu ja chciałem zaimponować? To już może lepiej porozmawiajmy o zespole, o tym, jak się to wszystko zaczęło.

Piotr Wiwczarek przyszedł na świat 22 października 1965 roku w olsztyńskim Szpitalu Miejskim. Rodzice, Zbigniew i Maria, szybko się rozwiedli, więc opiekę nad małym Piotrkim i jeszcze mniejszym, bo młodszym o pięć lat, Pawłem przejęli dziadkowie od strony ojca. Julian i Bronisława (nie lubiła tego imienia, więc używała drugiego –

wszyscy mówili na nią Wanda) pochodzili z Tarnopola, lecz wojenna zawierucha przygnała ich z Kresów na Mazury. Julian był zawodowym żołnierzem, nosił mundur jeszcze przed Wrześniem. „Chociaż był doświadczonym wojakiem, frontowcem, wyżej sierżanta sztabowego nie zaszedł – wspomina Peter. – Znalazł się w armii Rokossowskiego. Doszedł aż na Pomorze, miał medale, między innymi Tarczę za operację berlińską. Po wojnie nie chciał wracać na tereny opanowane przez Sowietów, więc osiadł w Olsztynie i ściągnął rodzinę. Ojciec był ich jedynym dzieckiem, urodził się w 1944 roku.

Julian nasiąknął żołnierską dyscypliną na całe życie. Wnuk pamięta twardziela, faceta z autorytetem i zasadami. Jako że dziadek był człowiekiem wierzącym, co tydzień cała rodzina karnie maszerowała do kościoła. Co dwa tygodnie do fryzjera – bo Julian długich włosów nie tolerował. Był surowy i miał swoje dziwactwa, ale Peter twierdzi, że nie miał nic wspólnego z typem ponuraka. „Był człowiekiem bardzo wesołym i lubianym w swoim środowisku”.

Mieszkali w bloku przy ulicy Gietkowskiej, na parterze. Wszyscy polscy fani metalu w latach 80. znali ten adres, bo stąd lider Vadera rozsyłał po świecie nagrania demo grupy. Blok jak blok, lata świetności dawno ma za sobą. W każdym mieście takie straszą, ale oczywiście upieram się, żeby go zobaczyć. Po dwóch dniach spędzonych w leśnej rezydencji Wiwczarków jedziemy więc do Olsztyna.

„Dobrze mi tam było, miałem wszystko. Na Gietkowskiej przeżyłem prawie 30 lat. Niby w centrum miasta, do którego na skróty miałem dosłownie rzut beretem, a jednak na uboczu. Zaraz obok był las. Może przez to nauczyłem się cenić spokój, spędzać czas sam ze sobą. Szczerze mówiąc, nie potrzebowałem nigdy kurateli ze strony rodziców czy kogokolwiek. Wystarczało mi to, że mogę być sam, zamykałem się często w sobie, ale dobrze się z tym czułem. Sam w swoim świecie”, wspomina lider Vadera, gdy telepiemy się busem w towarzystwie dwóch znudzonych staruszek.

Gietkowska była dość specyficzną okolicą. W ceglanych budynkach za siatką, naprzeciwko domu babci, mieściły się koszary ZOMO. Jednym z najbardziej jaskrawych wspomnień Petera z dzieciństwa jest widok klatek, w których tłoczą się milicyjne psy. Bez przerwy ujadają i bardzo od nich śmierdziało. Z kolei w stanie wojennym Gietkowska była oazą spokoju. Tu strach, który chwycił za gardło niemal wszystkich Polaków, ledwie się odczuwało. W najbliższej okolicy bloków zamieszkanych głównie przez rodziny wojskowe prawie nie obowiązywała godzina milicyjna – dzieciaki do późnej nocy jeździły tu na sanckach, a zasypiający zomowcy musieli słyszeć zza ogrodzenia ich wesołe pokrzykiwania.

Obecnie mieszkanie po dziadkach zajmuje Paweł, który mieszka tu z żoną i dwójką dzieci. Korzystam z ich gościnności i rozglądam się pokoju, w którym Vader miał przez jakiś czas próby. Dzisiaj mieszkają w nim Sylwia i Piotrek, dzieci Pawła, więc wygląda to po prostu jak pokój współczesnych nastolatków, nie muzeum heavy metalu, ale i tak świadomość, że właśnie tutaj, na tych paru metrach kwadratowych, wszystko się zaczęło, wprawia mnie w niemal pielgrzymkowy nastrój. Pamiątek tu jednak nie sprzedają, przechodzimy więc do dużego pokoju i siadamy do kawy i pysznych pączków z ajerkoniakiem. Bracia rozmawiają o zmianach w najbliższej okolicy – tu coś buduje lokalna telewizja, tam ma przebiegać nowa droga – i godnych polecenia mechanikach samochodowych (ciągle ten wał korbowy...). Potem zaczynają się wspomnienia, na stół trafia teczka ze starymi zdjęciami: dziadek w mundurze, kilkuletni Peter na rękach u babci, Peter i Paweł na audyencji u Świętego Mikołaja (choć zważywszy na czasy, mógł to być raczej Dziadek Mróz), jakieś wyblakłe fotografie z pierwszych wypraw na koncerty i pierwszych pokoncertowych balang. Kiedy kończą się zdjęcia, Paweł wyczarowuje kolejną teczkę, z plakatami i wycinkami z muzycznych gazet, które wisiały kiedyś nad łóżkiem Petera. Później schodzimy do piwnicy. Niewielkie pomieszczenie, dosłownie kilka

metrów kwadratowych, zagracone pod sufit, jak każda piwnica w bloku zamieszkanym przez kolejne już pokolenie. Z niezliczonych szafek wyluskujemy przeszłość Piotra Wiwczarka – klasery ze znaczkami pocztowymi sprzed 20 lat („Patrz, Chiny i Nikaragua! Patrz, seria z sokolami!”), wykrzykuje wyraźnie poruszony znaleziskiem Peter), soczewki mikroskopu, kilka kaset magnetofonowych (demo Pandemonium, jakieś bliżej niezidentyfikowane nagrania Slayera, trochę obciachowego popu z lat 80.). Szukamy nabitych ćwiekami piśczoch albo pasa transmisyjnego, który stanowił kiedyś element wizerunku scenicznego Petera. Niestety, bezskutecznie. Przykurzeni i znużeni piwnicznym mrokiem wychodzimy na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Peter oprowadza mnie po najbliższej okolicy. Zwiedzam kibel przy walczącej się szopie, w nim zespół przez chwilę miał próby (choć jakim cudem się tam mieścili, nie wiadomo), zaglądam do piwnicy w bloku obok, intensywnie eksploatowanej podczas zabaw w wojnę, oraz garaże, za którymi Peter zdobywał swoje pierwsze, dość jeszcze niewinne, doświadczenia seksualne. Człapię dwa kroki za nim, raz na jakiś czas przeskakując psie kupy lub kałuże podejrzanie wyglądających substancji, i słucham dalszego ciągu opowieści o latach najdawniejszych. O tym, jak zaniedbane dzisiaj i opustoszałe podwórka przy Gietkowskiej kiedyś tętniły życiem. „Nigdy nie zapomnę spotkań, które odbywały się w naszej kamienicy. Raz na tydzień albo dwa któryś z sąsiadów organizował wieczorek przy kropelce koniaku czy filiżance kawy. Rozmowy do późnego wieczora, dowcipy, wspólne śpiewanie piosenek, od czasu do czasu mecz w telewizji. My bawiliśmy się z dziećmi sąsiadów... Ta społeczność żyła. Dzisiaj tego już zupełnie nie ma. Może dlatego tak bardzo ważna dla mnie jest przyjaźń, wspólne życie z ludźmi”. Peter uważa, że dorastanie pod okiem dziadków uczyniło z niego człowieka nieco staroświeckiego, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. „Wpajano mi pewne zasady zupełnie do dzisiajszego świata niepasujące, ale ja się z tego cieszę, choćbym miał być ostatnim człowiekiem na ziemi, który

się nimi kieruje. Dziadkowie dobrze mnie wychowali. Dzięki temu na przykład nigdy nie przeklinałem. Kiedy zakładaliśmy zespół, byłem człowiekiem, który czerwił się na słowo »dupa«. Zmieniło mnie dopiero środowisko rockersów”.

Dziadkowie dbali nie tylko o wychowanie, ale i edukację wnuka. Również edukację artystyczną. „Muzyką zainteresował mnie dziadek. Grał w orkiestrze na waltorni, ale najbardziej kochał skrzypce i próbował zarazić mnie miłością do tego instrumentu. Pamiętam płyty puszczane z gramofonu, walce Straussa, stare piosenki, całą masę różnych rzeczy, w tym jeszcze stare płyty niemieckie”. Peter był w drugiej klasie podstawówki, kiedy dziadek postanowił zaprowadzić go do szkoły muzycznej i zapisać na lekcje skrzypiec. Niewiele później miał miejsce debiut sceniczny przyszłego frontmana deathmetalowego kwartetu. Solowy.

„To była duża scena szkoły muzycznej, grałem przed jakimś strasznie ważnym, wielkim rosyjskim skrzypkiem, którego nazwiska już nie pamiętam. Zagrałem *Kurki trzy*. Miałem totalną srakę. W życiu tak się nie bałem, nawet po latach, kiedy zdarzało mi się grać przed bardzo trudną publicznością. Nie dbałem nawet o to, jak gram, ale bałem się zbłąźnić jakąś idiotyczną pomyłką. Po występie rosyjski skrzypek zaprosił mnie na pogawędkę. Uścisnął mi dłoń i pochwalił. Powiedział: »Charoszij malczik« czy coś takiego – śmieje się Piotr. – To był mój pierwszy kontakt ze światem muzyki, byłem więc przerażony i podniecony zarazem. Niestety, karierę skrzypka zakończyłem dość szybko, bo nauczycielka doprowadziła do tego, że znienawidziłem ten instrument. Lekcje traktowałem jak karę, wiedziałem, że znów będzie mi wyginała łapy i zmuszała do ćwiczeń, których nienawidziłem. Może była dobrą skrzypaczką, ale kiepską nauczycielką. Nie pielęgnowała we mnie miłości do muzyki, nie pozwalała skupić się na graniu, tylko męczyła mnie, wyginała mi ręce, aż do fizycznego bólu. Byłem w takim wieku, że totalnie mnie to zniechęciło”.



Nawet ten, kto posiadał trudną sztukę panowania nad tłumem...



...musi umieć zrobić unik, kiedy trzeba



W Londynie ciasno i gorąco

Tony wyraźnie zadowolony z tego, co wykręcił



Wacek, Daray, Yauary,
Mauser i Hiro na pokładzie
promu płynącego
do Francji



Bohaterowie są zmęczeni



W roli głównej: wschód słońca nad kanałem La Manche.
W pozostałych rolach: autor i Mauser

Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń
i na www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

